

Fantastyczne historie

28 kwietnia 2017

Rozdział 1

Kontakt bezpośredni

Dźwięki doskonale zsynchronizowanej opery na dwanaście głosów wypełniały przestrzeń kokpitu.

— Dziennik pokładowy, wpis numer... och, jeden. — Psychit uderzał mackami rytmicznie w klawiaturę. — Misja typu kontakt bezpośredni z niezbadaną wcześniej cywilizacją. Uczestniczą potwór Psychit i Ziemianin Ziemowit.

— Urodziłem się na Felicji — poprawił potwora Zimi — od ostatniej wizyty na Ziemi nie chcę mieć z nią już nic wspólnego.

— I tak nikt tego nie będzie czytał — odpowiedział Psychit nie odrywając wzroku z ekranu — ...Felicjanin Ziemowit. Statek typu strzałkowiec piątej generacji, napęd na pręty operowe. Nazwa?

— Jeszcze nie wymyśliłem. Myślisz, że tak prosto nadać imię, gdy przed chwilą dostało się swój własny ukochany statek? To trzeba przemyśleć — wyjaśnił Ziemowit — poza tym jakie to ma teraz znaczenie? Chyba nie wierzysz w te przesady, że latanie nienazwanym statkiem przynosi pecha?

— Nie, ale łatwiej jest później kompletować jego fragmenty, gdy eksploduje. — Psychit wyszczerzył srebrzyste zęby. — Powierzchnia planety jest całkowicie biała. Na razie brak reakcji ze strony mieszkańców. Rozpocynamy podchodzenie. Ziemowit prawdopodobnie znowu połamie wszystkie pręty.

— Nie pisz tego! — oburzył się Zimi i pociągnął tak nieuważnie stery, że jeden z dwunastu prętów rozsypał się z dźwiękiem mordowanej śpiewaczki operowej.

Reszta lądowania odbyła się bez niedogodności nie licząc złośliwego uśmieszku na paszczy Psychita.

Planeta okazała się przykryta grubą warstwą chmur, światło centralnej gwiazdy rozpraszało się całkowicie i produkowało depresyjny jesienny dzień. Pod nimi, na równie białej powierzchni, jak niebo zobaczyli niewielkie skupiska czarnych domków. Ziemowit postanowił postawić swój stateczek na skraju małego miasteczka.

Wszystko na tym świecie było czarno-białe. Biała trawa, kamienie i chodniki kontrastowały z murami z czarnej cegły i mieszkańcami ubranymi w modne wzorzyste ubiory. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby przy kontakcie bezpośrednim nie powstał chaos, a mieszkańcy nie uciekali przed intruzami w popłochu. Odpowiedniki wojska pojawiały się zazwyczaj w przeciągu dwóch kilopulsów. Tym razem wszyscy kontynuowali swoje czynności. Co jakiś czas niektórzy ukradkiem przyglądali się gościom, ale zaraz wszechobecni policjanci zwracali im uwagę głośno bucząc. Zimi postanowił nazwać ich dyrygentami, bo tak śmiesznie wymachiwali patyczkami.

Mieszkańcy planety nie wyróżniali się niczym szczególnym. Mieli po dwie nogi, kręcone rogi na głowach i cztery ręce. Dość normalne, zważywszy na różnorodność całego wszechświata. Nienormalne natomiast było ich zachowanie. Każdy chodził prosto, jak po linie, ze stałą prędkością lub stał całkowicie w miejscu. Wszystkie czynności mieszkańcy robili grupowo do taktu.

Co ciekawe, to Zimi i jego statek przyciągali najwięcej spojrzeń, a nie stojąca przy nich kolczasta pięciometrowa zębata bestia. Tak się złożyło, że Psychit także był czarny, ze srebrnymi pazurami i kolcami w kształcie wielkich igieł chirurgicznych, widocznie to uchodziło za całkowicie normalne w tym świecie, w przeciwieństwie do wściekle pomarańczowego strzałkowca i ubranego specjalnie pod jego kolor pilota. Ziemowit nieśmiało poprawił kaptur swojej bluzy.

Oprócz dyrygentów z pałeczkami i różnorodnie ubranymi obywatelami, po miasteczku kręciło się także całe mnóstwo malarzy. Każdy z nich posiadał dwa wiadra z farbą i biegając po całym mieście malowali na bieżąco wszystkie obtłuczenia, pobrudzenia i szarości świata. Mała grupka nieustraszenie zebrała się obok przybyszów, chyba aby rzucić się na Ziemowita i go „naprawić”, ale Psychit warknął na nich tak, że uciekli rozlewając farbę. Jednak jeden najmniejszy malarz zaraz wrócił i starannie zamalował ślad uciekinierów.

Dwójka dziwaków (a właściwie tylko jeden dziwak) szła środkiem chodnika z równą prędkością, taką jak wszyscy. Zwolnili na chwilę, przechodząc na bok, żeby obejrzeć wspaniałą fontannę w centrum. Zasilana ona była małą rzeczką i tryskała z pomnika na szczycie pióropuszem wody w nudnobiałe

niebo, chyba częściowo produkując też te całe chmury. Gdyby nie rozproszenie światła, mieniłaby się zapewne wszystkimi kolorami tęczy. Wiele mieszkańców po kolei nabierało z niej wody do wiader i od razu duszkiem wypijało pod czujnym okiem dyrygentów. Całe szczęście, że woda jest przezroczysta i nie trzeba jej barwić.

Naraz wokoło przybyszów zerwało się wielkie buczenie. Wszyscy dyrygenci skakali wokół, krzycząc coś w niezrozumiałym języku, a z daleka nadbiegała tym razem chyba prawdziwa policja z elektrycznymi włóczyniami. Ziemowit sięgnął do pasa po szyfrator, aby zamrozić ich w splocie czasoprzestrzeni, ale potwór nie chciał się bronić. Postanowili więc pokojowo rozwiązać konflikt.

Kłując swoich gości w plecy, policjanci zaprowadzili ich do budynku z kratami w oknach i zamknęli w dużej celi. Na szczęście środek budynku był biały, więc nie było to aż tak depresyjne miejsce, na jakie wyglądało z zewnątrz.

— Ciekawe, co z nami zrobią? Mają tu sąd, będą chcieli się porozumieć jakimś językiem migowym, a może zaraz nas wypuszczą i ugoszczą w pałacu? Zdarzało się to już przecież. — Zimi bombardował pytaniami swojego znajomego.

Potwór wzruszył ramionami i wskoczył na łóżko, które zarwało się pod jego ciężarem.

— Demolowanie im mebli na pewno nam nie pomoże — Zimi skarcił Psychita — myślę, że nikt ich nie budował, żeby wytrzymywały trzy tony.

— Wypraszam to sobie, nie jestem aż tak wielki. Ważę jedynie dwie i pół tony, a to spora różnica — ryknęło monstrum — i to ich wina, powinni byli być przygotowani na przyjęcie członków jednej z czołowych organizacji wszechświata. Większość cywilizacji słyszała o nas i zawsze jest gotowa na nasze przyjście.

— Większość cywilizacji słyszała o was tyle, że jesteście morderczymi jaszczuropolodbnymi istotami zabijającymi w okrutny sposób całe populacje i jedzącymi małe dzieci — poprawił Zimi gapiąc się przez okno — podobno jest was tyle, że niszcycie sprawnie całe galaktyki. Niezłe legendy jak na dziewiątkę istot na cały wszechświat.

— To Pyrroq zjada chętnie dzieci, nie ja — bronił się — poza tym, jak wiesz, zabijanie kogokolwiek jest od ponad osiemdziesięciu gigapulsów, znaczy tych... waszych dwóch tysięcy lat zabronione, zwłaszcza dla nas. Teraz mamy być posłusznymi zwierzątkami i nieść pokój i szczęście. Już raz Niebo ukarało mnie utratą mocy na... em... miesiąc. Straszne przeżycie. Ty jeszcze nie masz mocy, więc co możesz wiedzieć. To tak jakby ci ktoś odciął ogon, skrzydła, wszystkie kończyny i zostawił dryfującego w przestrzeni kosmicznej.

— Mieszkam na Felicji! — Zimi się odwrócił. — My też liczymy czas w pulsach, mam już gdzieś ziemskie lata! Zapamiętaj, że...

Przerwał w połowie zdania, bo trójka policjantów z włócznieami przyszła i otworzyła kratę wyprowadzając więźniów. Psychitowi zamknęli na rękach kajdany między pierwszym, a drugim kolcem, tak sprawnie, jakby aresztowali istoty z kosmosu regularnie.

Poprowadzili ich do wielkiego pokoju, na środku którego widniała spora konstrukcja. Miała ona wiele igieł, świdrów i harpunów skierowanych do środka, gdzie przymocowane było kratowane łóżko z pasami. Malarze sprawnie zacierali czerwone ślady po ostatnim użyciu urządzenia.

— Śmierć za przejście na nieprawidłową stronę chodnika — zaśmiał się Psychit — dość tej zabawy ryknął nisko i zerwał kajdany, jakby były z plasteliny.

Zaraz rzucili się na niego policjanci, ale on podciął im nogi ogonem, w locie łapiąc ich włócznie w rękę i wbił z całej siły w podłogę, jakby chciał pokazać, że mógł równie dobrze w nich.

Popatrzył słodko na przewodniczącego, który ukrywając strach, krzyknął coś niezrozumiałego do podwładnych. Zaraz otworzyli główne drzwi i zaprosili byłych więźniów do wyjścia, jak gdyby nic się przed chwilą nie stało.

— Nie mam pojęcia, co się właśnie wydarzyło, a ty? — zagadnął Zimi wracając w stronę rakiety — i oczywiście dziękuję za ratunek. Jak zwykle.

— Myślę, że ten świat nie jest jedynie czarno-biały. Jest także czarny i biały nawet u podstaw. — Psychit rozmyślał. — Nie ma tu miejsca na szarości nawet w zachowaniu obywateli. Śmierć, albo wolność, środek chodnika, albo stanie w miejscu. Wypicie całego wiadra wody na raz, albo wzięcie całego ze sobą. Wszyscy robią rzeczy, albo doskonale, albo wcale. Za zejście z linii od razu śmierć.

— Taki perfekcjonizm może powodować dużo dobrego, ale jakoś nie widać po ludziach, żeby byli szczęśliwi. Myślę, że jednak ich system działa gorzej, niż lepiej.

— Już nie raz widywaliśmy zniewolone światy. Ale ci mogą zawsze przeskoczyć na inny kolor, zrobić dokładnie odwrotnie, niż robili wcześniej, więc technicznie rzecz biorąc mają więcej wolności od nas.

— Nasze prawo nakazywałoby naprawić ten system. ALOPP zostało przecież przez was powołane tylko po to, żebyśmy my, ludzie, pomogli wam, potworom nieść dobro, a tutaj nie za dużo go widzę. Ale tym razem może postaraj się nie rozwalić wszystkiego w drobny mak.

— To jedna wielka kolorowanka. Możemy użyć tylu kolorów, ilu chcemy. — Psychit przystanął. — A zaczniemy od przywrócenia twojej rakiety z powrotem do pomarańczowego.

Nieuważnie zostawili statek nieupilnowany, doskonały kasek dla malarzy. Ci z największą dokładnością pokryli każdą powierzchnię białą farbą, nawet okna.

— Mój stateczek. Moje dziecko! — Zimi pobiegł do swojego nowego nabytku. — Nawet nie zdążyłem się tobą wystarczająco nacieszyć!

Ziemowit biegał w kółko urządzenia.

— Farba się zmyje, lepiej sprawdź czy... — Przerwał mu krzyk.

Wygląda na to, że malarze aż za bardzo przyłożyli się do swojej pracy. Zajrzeli w każdą dziurkę, w każdy zakamarek. Twardymi pędzlami popękali wszystkie delikatne, zasilające pręty operowe. Znaczą prawie wszystkie, bo jeden zbił wcześniej Zimi.

Ziemowit pokazał garść niebiesko-białych kryształków.

— Masz zapasowe, prawda? Masz całe dwa zestawy. — Psychit się nie przejął. — W najgorszym razie to wyniosę cię poza atmosferę na rękach, a tam otworzymy przejście do dolnej warstwy.

Dał się słyszeć drugi krzyk. Czarna farba wylała się ze środka, gdy tylko Zimi otworzył właz.

— Ty ostatni wychodziłeś, nie zamknąłeś włazu, prawda? — wysyczał przez zęby — chyba czeka cię nieco dłuższy lot do domu na własnych skrzydłach. I będziesz trzymał mnie, statek i pięć ton powietrza w bańkach energii, bo farba zalała grubą warstwą wszystkie ściany i nie mam ochoty siedzieć w środku w czasie podróży. A przedtem jeszcze sam wejdziesz do środka i wyłosisz dolny klucz.

— Dobrze, popsulem. — Potwór podwinął ogon. — Ale nie mam wystarczającej siły na lot do domu jeszcze rozciągając tak wielkie tarcze. To męczący, wiesz? A gdybym ja kazał ci teraz biec podwójny maraton ze mną na plecach? Zrobiłbyś to bez problemu? My też się męczymy — bronił się — i ten system gwiazdny jest na skraju kwadry, podróż dolną warstwą nawet prosto przez środek wszechświata zajęłaby mi kilka kilopulsów. Lepiej wezwij pomoc, Floria z Mojmirą miały zwiedzać sąsiednią galaktykę, na pewno szybciej tu przylecą swoją latającą szklarnią.

Ziemowit wyjął z kieszeni swój okrągły komunikator, ale okazał się być odłączony od korpusu. Komunikatory posiadają w sobie małe portale do dolnej warstwy łączą się z olbrzymimi umieszczonymi tam maszynami. Dzięki temu taka mała komóreczka, która mieści się w kieszeni ma nieograniczoną niemal energię i moc obliczeniową maszyny wielkości wieżowca, która umieszczona jest niejako „pod spodem” czasoprzestrzeni.

Jednak czasami w dolnej warstwie pojawiają się wybuchy gejzerów, które

zniszczyłyby te maszyny. Odłączają się one zatem automatycznie, gdy tylko wykryją pod sobą turbulencje i uciekają na bezpieczną odległość zostawiając tymczasowo właściciela komunikatora po drugiej stronie z bezużytecznym kawałkiem elektrozłomu.

— Skoro i tak spędzimy tu trochę czasu, to równie dobrze moglibyśmy trochę z nimi poeksperymentować — westchnął Psychit patrząc w stronę fontanny — zacznijmy od czegoś prostego.

Złapali więc jednego z obywateli i zmusili do patrzenia na żarowiąstą bluzę Ziemowita. Psychit wypalił laserem ze swojej dłoni dziurę w ziemi i pokazywał mu barwne przekroje skał, oraz jak świeci rozgrzana farba. Obsypywali go niebieskim proszkiem z prętów.

Kosmita nic sobie z tego nie robił. Na każdy kolor zawsze zamykał oczy i siedział w milczeniu. Czy dlatego, że nie chciał, czy dlatego, że się bał, bo za doświadczanie koloru groziło podziurawienie na wylot?

Próbowali podobnie robić z kilkoma innymi istotami. Od buczenia dyrygenta wiedły im uszy, najwięcej zainteresowania wykazał jednak malarz, który opryskał wszystko pokazywane farbą.

— Pora na krok ostateczny. Dość mam już tego cackania się — powiedział czarny potwór z białe kropki.

— Nie róbmy im krzywdy, nie wolno nam! — odpowiedział pomarańczowy człowiek w czarne kropki — co zamierzasz wyprodukować swoją mocą?

— Jeśli nie chcą patrzeć na kolory, to zrobimy tak, żeby widzieli je nawet przy zamkniętych oczach — powiedział, wkładając pazury do fontanny — i zjedz tę grudkę, to antidotum na to, co się zaraz stanie.

Każdy z potworów ma jakąś podstawową moc. Psychit na przykład potrafi wytworzyć swoim ciałem dowolne lekarstwo, narkotyk, truciznę, czy halucynogen. Na niego samego jego substancje nigdy nie działają. Nośnikiem tych związków jest czarny smar nazywany potocznie ektoplazmą.

Psychit najeżył się i wypuścił z koleców na rękach czarną substancję, która natychmiast zmieszała się z wodą. Dumny ze swojego dzieła był zaskoczony, że nawet sikawka zaczęła pompować jego ektoplazmę, rozpylając czarne chmury, brudząc nieskazitelnie białe chodniki.

Z wrednym uśmiechem obserwował istoty nabierające czarną wodę do kubłów i pijące ją trzęsącymi się rękoma i przerażeniem w oczach. Nie odważyliby się zaprotestować, nawet gdyby kazano im pić płynne żelazo.

Potwór i człowiek wygodnie usiedli na końcach strzałek statku i obserwowali rozwój wydarzeń. Pierwsi zareagowali malarze. Pędzlami malowali i tak doskonale białe substancje. Rozlewali gwałtownie farby na siebie nawzajem i wymachiwali pędzlami w powietrzu chcąc widocznie je także pomalować.

Wkrótce wszyscy obywatele wewnętrznie spanikowali. Chodzili drżącymi krokami, zakrywali oczy, ale nikt nie odważył się zejść z wytyczonych linii. Nikt nie zwolnił, nikt nie wyszedł poza binarność. Pomimo, że w ich głowach i przed oczyma tańczyły wszystkie kolory wszechświata wytworzone jednym z najsilniejszych halucynogenów, jakie Psychit potrafi wyprodukować, to nikt nie dał tego po sobie poznać.

Wyglądało to śmiesznie, dopóki jedna osoba nie wykłuta sobie oczu i szczęśliwa dalej po omacku nie szła w kolejce środkiem chodnika. Kilkoro pozostałych poszło w jej ślady zanim Psychit nie podbiegł i nie zalepił wszystkim wkoło oczu swoją ektoplazmą oślepiając ich jedynie tymczasowo, żeby nie robili sobie krzywdy.

Środek rozpylony w chmurze podziałał na wszystkich, ale nie chcieli oni reagować na jego efekty. Jedni próbowali pomalować niebo, więc wygląda na to, że wierzyli w widziane kolory. A z kolei ci, którzy wyłupili sobie oczy prawdopodobnie byli świadomi, że wszystko powstaje tylko w ich głowach. Nie mogli wewnętrznie nawet tego zmieścić.

Ziemowit w milczeniu zastanawiał się, czy nie posunęli się za daleko. Być może wyrządzili nieświadomym istotom, niepotrzebną krzywdę. Chociaż, z drugiej strony, wytwór Psychita niedługo przestanie działać i wszystko wróci do normy. Chodniki zostaną pokryte kolejną warstwą bieli, a fontanna na nowo odmalowana. Statek się weźmie na hol i nie pozostanie tu po nich żaden ślad. Nawet wspomnienia obywateli zostaną szybko wypłewione przez wiecznie wiszący topór śmierci za każde odstępstwo od normy.

A Psychit? On smakował farbę. Ze wszystkich dziwności wszechświata, ta planeta nawet go nie ruszyła. Ziemowit wziął trochę czerni na palec i pomyślał, że sporo musi się jeszcze o życiu nauczyć.

Fuj, obrzydlistwo.

Rozdział 2

Na pewno nie jest pan wilkołakiem

Podobno nie każde ugryzienie wilkołaka naznacza człowieka. Ja jednak wolę dzisiejszej nocy nie ryzykować. Właśnie teraz mija miesiąc od tamtego pamiętnego dnia, rana się już prawie zagoiła, ale blizna zawsze będzie mi przypominać o mojej skazie. Pierwsza pełnia księżyca, tej nocy wszystko się wyjaśni.

Z samego rana spakowałem namiot, trochę jedzenia i wyruszyłem w las, aby uciec jak najdalej od wioski. Nie mogę narażać jej mieszkańców i rodziny, gdyby okazało się, że jednak jestem... tym czymś.

Rozbiłem namiot pośrodku jeziora, na małej wysepce, do której przypłynąłem kłodą drewna. Mogę mieć tylko nadzieję, że wilkołaka nie utrzyma. Dla bezpieczeństwa przywiązałem ją łańcuchem, a klucz od kłódki opaliłem w ogniu, aby pozbyć go ludzkiego zapachu i zakopałem pod drzewem.

Zasnąłem, gdy był jeszcze dzień, miałem cichą nadzieję, że rano obudzę się w tej samej pozycji.

I tak się stało, nadal byłem w namiocie. Jednak już po kilku sekundach wiedziałem, że coś było nie tak. Kłoda drewna nadal była przywiązana do brzegu, ale z drugiej strony wyspy. Pod drzewem widniała wykopana pazurami dziura, ale klucz leżał w środku. I moje paznokcie, były jakby dłuższe?

Czy możliwe było, żebym w nocy odwiązał kłodę, popłynął nią na brzeg, a potem wrócił i przywiązał z powrotem? Znacznie ciekawsze było jednak, co robiłem w lesie, polowałem, wylem? W końcu dzień drogi to nie tak daleko od wioski... przeszły mnie dreszcze ze strachu. Trzeba wracać. Szybko.

Już z daleka wiedziałem, że jednak tu byłem. Echo gwarnej wioski niesie się przez las, ale tym razem było zupełnie cicho. Nawet ptaki zamilkły, a wiatr ustał.

Tłące się pozostałości słomianych dachów dopełniały plamy krwi na drodze. Odwracałem wzrok od zmasakrowanych ciał nie dlatego, że mnie obrzydzały, ale dlatego, że bałem się zobaczyć w nich członków mojej rodziny.

Każda chałupa miała wyważone drzwi, z każdej futryny wiała śmierć. Tak oto kolejna wioska zniknęła z map. Czy za miesiąc jeszcze jedna podzieli jej los?

Ale była jedna osoba, która mogła znać prawdę. Przybysz. Nigdy nie opuszczał domu i z pewnością teraz też tego nie zrobił. Pewnego razu przyszedł do naszej wioski, za pomocą dziwnych sztuczek leczył rany, odpędzał wrogów i budował mechanizmy. Zdobył nasze zaufanie i pozwoliliśmy mu osiąść nieopodal.

Wie, że zostałem ugryziony i z pewnością, jak tylko mnie zobaczy, strzeli do mnie jednym ze swoich dziwactw i zada bolesną śmierć. Może to i lepiej, tacy, jak ja powinni być usuwani ze społeczeństwa. Moja wina, trzeba było oddalić się od wioski na większą odległość. Ale jeśli istnieje cień szansy, że dowiem się prawdy, to trzeba iść.

Kwadratowy domek zwyczajowo świecił niebieskawą luną. Na dachu były takie specjalne deski, które kradną światło słońca, a potem część oddają w nurcie elektroko-jakimśtam. Nowa, kanciasta gałąź dziwnego drzewa antony wbita była w rogu, już czwarta z kolei. Płot iskrzył się jak pocierany koc, ale wiedziałem, że przy dotyku może zabić silnym nurtem. Magiczne ogrodowe krasnale zaczną do mnie strzelać promieniami słońca, gdy wejdem nieproszony zamiast użyć przycisku przy furtce.

Niepewnie dotknąłem kółka na małym pudełku. W domu rozległo się bicie dzwonków, chociaż byłem w domu Przybysza już wcześniej i wiem, że na pewno nie miał żadnych dzwonków przy wejściu. Zamknąłem oczy i czekałem, aż gorący promień dokona mojego żywota.

— Witam naszego wspaniałego bohatera, ale im pan pokazałeś, no, no. — Przybysz chyba oczekiwał mojej wizyty. — Mam to wszystko nagrane, choć, pokażę, jak ratuje pan wioskę. — Odczytał zakłopotanie z mojej twarzy. — Nic pan nie pamięta? Ciekawe. Akurat wczoraj, tej samej nocy Imperium zaatakowało. Przyjechali z wozami, żeby porwać wszystkich na niewolników kopalni. — Odsunął się zapraszając do środka, chyba jednak

nie chciał mnie zabić. — Wtedy ty się zjawiłeś, w samą porę. Wszystkie te trupy na podwórzu należą do imperialistów, naszych nie tknąłeś.

— Ale truchło naszej sąsiadki, tam leży! — odpowiedziałem z niedowierzaniem.

— To dlatego, że kilku mieszkańców okazało się agentami, to oni nas zdradzili dla Imperium. Nie martw się, każdego z nich także zmieniłeś w krwistą papkę, a domy spaliłeś biegnąc z pochodnią w zębach.

Czyste, perfekcyjnie wykonane wnętrze domu przypominało gładkością mleczny lód. Magiczne przedmioty, których znaczenia mogłem się jedynie domyślać walały się wszędzie. Na stoliku siedziała wielka, tresowana mucha z gatunku drą. Pokazywał mi kiedyś, jak głośno lata i jak potrafi przekazać potem, co widziała.

Przybysz wskazał na niezwykle okno w ścianie, nazywał je kranem E. Pokazywało nieistniejące widoki, ale nie można było go otworzyć. Tym razem zobaczyłem na nim nocną scenę, z góry oświetloną blaskiem księżyca. Ludzie z pochodniami biegali i wchodzili do domów, wyciągając siłą mieszkańców.

Wtedy pojawił się on. Znaczy ja. Nienaturalna pozycja, lśniące białe futro, wielkie pazury i dzikie spojrzenie. Zamknąłem oczy, nie chciałem tego oglądać.

Gdy krzyki ucichły, wilkołak sprawdzał dokładnie każdy z domów i czasami podpalał. Mój dom także musiał zostać zniszczony. Moja własna rodzina trzymała z Imperium? Znaczy, że... musiałem ją zabić. Rozszarpałem moje własne dzieci! Łzy napływały mi do oczu i nie wiem czy dlatego, że ich straciłem, czy dlatego, że prawdopodobnie oszukiwali mnie tak długi czas, a całą wioskę sprzedali Imperium. Podejrzywałem to już od dawna, ale sercem uwierzyć nie mogłem, jak widać niesłusznie.

— Z tego, co wiem wilkołaki nie zachowują się w tak logiczny sposób. Jeśli pan pozwoli, zamierzam przeprowadzić kilka badań i pomóc Panu nad tym zapanować. — Było mi już wszystko jedno. — Możemy to wykorzystać do naszych celów, proszę sobie wyobrazić, cała armia wspaniałych bestii, może nawet obalimy Imperium! Nie będzie więcej wojny, palenia domów i najazdów, nie tylko dla naszej wioski, ale każdej! — Przybysz zachwycił się, patrząc w sufit, gdybym do wszystkiego miał taki optymizm, jak on. — Tu jest stół z klamrami na ręce i nogi. Przywiążę pana i zobaczymy, zapewniam, nic się panu nie stanie. Pełnia trwa dwie noce, do zachodu słońca zostało mało czasu.

Obojętnie. Nie stanie się, to dobrze, stanie się, to i nawet lepiej. A jak będę przywiązany, to nikogo więcej nie zamorduję.

Położyłem się na stole, Przybysz zapiął klamry i przyczepił mi jakieś sznurki do ciała. Na wszelki wypadek, zostawił ognistą kuszę na widoku.

Byłem za bardzo pobudzony, aby zasnąć. Wkrótce jednak zacząłem tracić

przytomność. Zaczyna się.

Obudziłem się także na stole, ubrania porwane na strzępy, sznurki pozrywane, kłamry przegryzione. Przybysz siedział w rogu i trzymał się za czerwony bandaż.

— Mamy mały problem. — Sięgnął do deski guzików. — Gdybyś po prostu się zerwał i mnie ugryzł, to by było jeszcze w porządku. Ale po transformacji zacząłeś ze mną rozmawiać i przekonywać do swoich racji.

Ze sztucznych ust przy kranie E dało się słyszeć głos Przybysza, oraz drugi, zupełnie nieludzki. Niski i ryczący, słyszeć było w nim echo kosmosu, dźwięk wielu zamieszkałych planet i ich słońc. Czerwony karzeł, żółty karzeł i wielka czarna dziura. Dwa księżyce, pierścienie i sztuczny twór. Miasta bogate i zdobione, pokój i szczęście mieszkańców, śmiech i radość. Ale ziemski język, którym rozmawiał sztuczny, ograniczony, na pewno nie polski. Skąd ja to wszystko w ogóle wiem?

— Od razu rozpocząłeś rozmowę ze mną po wspólnym, zwanym również nowomową. — Przybysz nieufnie spoglądał to na mnie, to na kran E. — Ten język powstanie dopiero za trzy tysiące lat w Ameryce, jako uniwersalny sposób porozumiewania się ludzi z różnych krajów. Nie ma jeszcze nikogo w tej chwili na świecie, kto potrafiłby się nim posługiwać. Z wyjątkiem mnie. I chyba też ciebie?

Pokręciłem głową, ja także go nie rozumiem.

— Interesujące. — Zamyślony wstał i podał mi nowe ubrania. — Proszę wyobrazić sobie bardzo inteligentne zwierzęta. Przychodzą z bardzo daleka i chcą się od nas nauczyć części naszej kultury. Po ugryzieniu, w ciągu kilku lat stajesz się jednym z nich. — Wskazał palcem na moje włoski na rękach, były teraz dłuższe i jaśniejsze. — Tak podbijają świat za światem, usuwają to, co złe, zostawiają tylko to, co w ich przekonaniu dobre i przyjmują u siebie. — Wyciągnął książkę z szuflady. — To nie zadziała. Sztuczne mieszanie kultur nie zadziała. Nie można mieszać. — Uniósł się, jakby chciał mnie przekonać, a ja nie rozumiałem. — Uciekłem przed wymuszonym mieszaniem, uciekłem przed Nowomową, przed sztucznie poprawnym zachowaniem. To wymaga czasu, kulturę trzeba wytworzyć, a nie zdobyć. Oni upadną, tak, jak my upadniemy. Na własne żądanie.

W książce były ryciny spalonych domów, brudnych ulic i wojujących ludzi, ale nadal nic z tego nie rozumiałem. Przybysz patrzył się przez okno. Pierwsi ludzie wracali do wioski.

— Ale może gdyby wpierw oczyścić tę kulturę z brudu, to by zadziałało? — Patrzył na mnie, szukając potwierdzenia racji. — Jedno jest pewne. — Zgasił kran E. — Na pewno nie jest pan wilkołakiem.

— Nie jesteśmy my — poprawilem.